

Dorota Klimanowska

Dyskusyjna propozycja dekonstrukcjonizmu

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 2 (67), 129-137

2001

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Dyskusyjna propozycja dekonstrukcjonizmu

Literaturoznawstwo pogrążone jest w marazmie. Badania historycznoliterackie osiągnęły stan głębokiego kryzysu, a ich naukowość budzi poważne wątpliwości wobec ujawniającej się „żenującej nieporadności narzędzi segmentacji” (s. 215), dokonywanych w ramach tej dyscypliny. Sztuka interpretacji natomiast niezwykle błędzi, bo za cel wyznacza sobie „ostateczne określenie poglądów autora (autora danego dzieła lub autora w ogóle), a tym samym zatrzymuje tekst artystyczny w jego s e m a n t y c z n y m r o z w o j u” (s. 93). Wreszcie metoda lektury okazuje się absurdalna, bowiem w wyobrażeniu czytelnika – poddanego autorzytetowi interpretacyjnych schematów – „polega na rozpoznaniu [...] w tekście tego, co czytelnik ten już *de facto* wie” (s. 231). Wobec tego impasu w refleksji o literaturze, tradycyjna komparatystyka pogrążona w metodologicznym chaosie okazuje się bezradna, a myśl o sensownym przeobrażeniu historii literatury – owego „totalizującego molocha” (s. 220) – nie daje się zupełnie utrzymać.

Tak można by najbardziej syntetycznie przedstawić diagnozę sytuacji współczesnego literaturoznawstwa, której dał wyraz Wiesław Rzońca w swojej pracy¹. Z poczucia krytycznego apogeum, jakie osiągnęła współczesna humanistyka, wyrasta ta rozprawa, która badaniom literackim proponuje odradzające *novum*. Nic zatem dziwnego, że przy podobnym zamyśle jej autor wyraźnie odcina się od dotychczasowych osiągnięć naukowej refleksji o literaturze, jednoznacznie je wartościując. Stanowisko swoje dookreśla przez negację wszystkiego, co można scharakteryzować, używając przymiotnika „tradycyjny” – nie zawsze w kontekście jasnego semantycznie, ale konsekwentnie ożywiającego negatywne konotacje. Tradycyjne w tym ujęciu są przede wszystkim zjawiska z dziedziny literaturoznawstwa: komparatystyka (s. 10, 15, 208, 212, 222), mimetyczność (s. 230) i historia li-

¹ W. Rzońca *Witkacy – Norwid. Projekt komparatystyki dekonstrukcjonistycznej*, Warszawa 1998.

Roztrząsania i rozbiory

teratury, jej język (s. 217), centra (s. 118) i segmentacja (s. 212, 224), narzędzia owej czynności (s. 215), sama lektura (s. 118), poszukiwanie sensu w tekście (s. 229), wreszcie badacz, czyli historyk literatury (s. 51), humanista (s. 22) i interpretator (s. 118, 130). Jako tradycyjne traktowane bywają elementy aksjologii, w tym także te, które wyrażają rzeczywistość sakralną: porządek świata (s. 19), system wartości (s. 10, 28) i związany z nim model patriotyzmu (s. 12) oraz wizja pracy (s. 14), wizerunek Boga (s. 54), religijność (s. 96), chrześcijaństwo (s. 13). Za tradycyjną uznawana jest mentalność i wypływające z niej działania (s. 7, 12, 15, 17, 19, 20, 118, 128, 152, 178). Tradycyjna wreszcie może być sama rzeczywistość – jedyny przedmiot opisu ontologii (s. 230).

Studium, które przedstawia – jak sugeruje podtytuł książki – *Projekt komparatystyki dekonstrukcjonistycznej*, opiera się na literaturoznawczej orientacji ukształtowanej przez amerykańskich badaczy zainspirowanych filozoficzną myślą Jacques'a Derridy. W badaniach Rzońcy stanowi zatem kontynuację ujęcia zaproponowanego w pracy *Norwid poeta pisma*². W konsekwencji, powtarzając zasadnicze ustalenia znane z tej publikacji (Norwid – poeta symboliczny i nieświadomy siebie dekonstrukcjonista), autor prezentowanej rozprawy przyjmuje fundamentalne tezy „diabolicznego profesora” i jego twórczych zwolenników. Nie są one w tekście tylko przywołane ani tym bardziej jedynie przyjęte jako metodologiczny fundament studium. We wstępnej części pracy otrzymujemy swoisty wykład podstawy dekonstrukcjonistycznej, oparty na niepodważalnej kompetencji autora w zakresie teoretycznoliterackiej i filozoficznej literatury przedmiotu. Erudycja badacza umożliwiła mu precyzowanie znaczeń terminów rozmytych semantycznie, a także reinterpretowanie pojęć jasnych i w ustalonym sensie wykorzystywanych w humanistycznej refleksji. To przedsięwzięcie – mające, paradoksalnie, posmak owego „totalizującego molocha” aparatury historycznoliterackiej – pozwala na sformułowanie wniosku: Norwid i Witkacy są twórcami romantyzmu, modernizmu i ponowoczesności jednocześnie.

Po takim wprowadzeniu, dopełnianym w toku rozprawy, nie można mieć wątpliwości: obcuje z wywodem, w którym dzieło literackie nie jest postrzegane jako duchowa całość, skończona struktura brzemienne w intersubiektywne znaczenia, które winno się odczytać, stawiając hipotezę autorskiej intencji na drodze zmagania o interpretację obiektywną. Nie istnieje bezstronne, właściwe odczytanie dzieła, które traci swoją dotychczas uznawaną rangę, pozostając tekstem zanurzonym w oceanie innych tekstów, otwartym na nieskończoną możliwość związków intertekstualnych, kształtujących każdorazowo jego znaczenie – zależnie od chwilowo przyjętego kontekstu lektury. W nihilistycznie przeżywanej rzeczywistości – aczkolwiek przed taką oceną Rzońca się broni (s. 199) – literatura może przedstawiać sobą teren „anarchii sensu”. Oderwana od podmiotu przez ideę „śmierci autora” (ten jest tylko hipertekstem) i zaprzeczenie teorii komunikacji, może stawać

^{2/} W. Rzońca *Norwid poeta pisma. Próba dekonstrukcji dzieła*, Warszawa 1995. Zob. recenzje: S. Sawicki *Nad książką „Norwid poeta pisma”*, „Studia Norwidiana” 1996 nr 14, s. 167-174, oraz Arent van Nieukerken, „Pamiętnik Literacki” 1997 nr 1, s. 176-186.

się także narzędziem wyrafinowanej gry. Odpowie zatem na potrzeby czytelnika-ironisty, czyli dziecka postmodernizmu pogrążonego w lekturze z całym wyposażeniem swojej wyobraźni. A dokona tego zwłaszcza wtedy, gdy jej badacze proponują odbiorcy tekstów nowe ujęcie zasad podobieństwa i różnicy, które umożliwi syntetyczne, „mozaikowe” czytanie książek pozornie przeciwstawnych – jak czyni to Rzońca z twórczością kontrowersyjnego romantyka i autora *Szewców*.

Zaskakuje nieco twierdzenie badacza, który starając się wyprzedzić przewidywane przez siebie wątpliwości czytelnika swojej pracy, sam wyjaśnia, jak możliwe jest złączenie dwóch różnych, niemal wzajemnie wykluczających się – jego zdaniem – metod badawczych. „Dekonstrukcjonizm z zasady przeczy komparatystyce” (s. 208). Uważam, że niezależnie od wskazanego przez Rzońcę źródłostwo drugiego z podanych terminów (*compar* znaczy podobny), ukształtowana w XIX wieku komparatystyka nastawiona była na poszukiwanie zarówno analogii, jak i różnic w toku porównywania tekstów (od łac. *comparare* – porównywać, w niem. *vergleichende Literaturgeschichte*). Dopiero ujęcie pozytywistyczne zbanalizowało ten sposób oglądu dzieł, ograniczając metodę do badania wpływów i zależności. Porównywać więc można wszystko – pod warunkiem jasnego określenia fundamentu penetracji utworów. Poza tym jeśli za punkt wyjścia dla oceny przedsięwzięcia dokonanego w omawianej rozprawie przyjąć dekonstrukcjonizm – z natury swojej otwarty, czyli nastawiony na łączną, chciałoby się powiedzieć: jednoczesną lekturę pism różnych w łańcuchu globalnej intertekstualności, nie zaskakuje fakt komparatystyki związanej z Derridowską myślą o tekście. Przeciwnie: komparatystyka właśnie wydaje się konsekwencją rozwoju orientacji wyrosłej z przemysłów francuskiego filozofa.

Wobec samej koncepcji sygnalizowanej tytułem *Witkacy – Norwid* może rodzić się pytanie – podkreślmy: nieuzasadnione na płaszczyźnie refleksji postmodernistycznej – o podstawę zestawienia dzieł wskazanych twórców. „W potocznym odczuciu bowiem – zdaniem Rzońcy – pisarze ci nie mają ze sobą nic wspólnego” (s. 7). Mam ochotę dopowiedzieć: w bardzo potocznym. A nawet zgłosić wątpliwość: czy mogą istnieć tacy czytelnicy, którzy znając Norwida i Witkacego, a jednocześnie w miarę swobodnie poruszając się w ich twórczości, zgłaszałyby zarazem zastrzeżenia co do samej idei łącznego mówienia o dziełach obu pisarzy. Myślę, że wymagana przez sformułowany sąd potoczność ocen owych czytelników nawet w naszej wyobraźni traci spójność z przypisaną im literacką kompetencją. A etykiety, typu: „błuznierca”, „bezbożnik” czy „erotoman” (s. 8, 9), dyskwalifikujące autora *Onych*, w języku humanisty w ogóle nie mogą się pojawić. Nazbyt więc płaskie i niskie, schematyczne i ostatecznie martwe przez swą stereotypowość jest to, czemu w pracy nadano rangę potoczności.

„[...] już narzędzia stworzone przez t r a d y c y j n ą komparatystykę pozwalają dostrzec bliskość Witkacego i Norwida” – czytamy na stronie 10. Nie przynosi zatem prawdy twierdzenie, według którego zestawienie obu twórców „stało się możliwe wskutek postmodernistycznych przemian” (s. 7), dokonujących się również w dziedzinie literaturoznawczych metodologii. Myślę, że warto przyjrzeć się

Roztrząsania i rozbiory

wyliczonym przez Rzońcę punktom wspólnym absorbujących badacza indywidualności polskiej literatury. Zdaniem autora *Projektu komparatystyki dekonstrukcyjnej*, obaj twórcy radykalnie wyprzedzili swój czas; są artystami, których nie ogranicza jedna dziedzina twórczości; świadomie działają na terenie myśli filozoficznej; podejmują problematykę o uniwersalistycznym charakterze; negują wartość patriotyzmu – mówiąc po Norwidowemu – polskiej wyłączności; postrzegają symptomy kryzysu cywilizacji europejskiej; zarysowują wizję nie akceptowanego przez siebie upadku sztuki; kreują bohaterów „zagubionych i w istocie bezsilnych w rzeczywistości przemian”, dając wyraz swojej pewności co do zanikania indywidualizmu w życiu społecznym; przesycają twórczość poczuciem kosmicznej (jak Witkacy) czy ograniczonej do ziemskiej przestrzeni (jak Norwid) Tajemnicy Istnienia; przyjmują postawę „k r y t y k i tradycyjnego c h r z e ś c i j a Ń s t w a”; podejmują motywy nudy, milczenia i mowy, oraz obrazują problem formy. Sądzę, że przywołane tutaj, a w pracy wyliczone z bardzo zwięzłym, aczkolwiek sugestywnym komentarzem, punkty wspólne pisarzy mogą zainspirować głęboką refleksję nad twórczością obu autorów, choć nie potrafię zgodzić się na wszystkie ustalenia badacza, podane nawet w sposób tak skrótowy. Dlaczego?

Odnoszę wrażenie, że Rzońcy bardzo trudno pogodzić się z wnioskami norwidologów, którzy w pisarstwie autora *Vade-mecum* widzą sprawy ludzkiej rzeczywistości postrzegane w wymiarze sakralnym. Ścisłej: rozważane w świecie chrześcijańskiej wiary i myśli teologicznej. Zdaniem badacza, dzieło romantycznego poety nie przestało być poddawane ciągłym manipulacjom, skoro tradycyjnie tłumi się obecne w nim sensory, budując abstrakcyjny konstrukt w postaci kategorii: „tzw. Norwid-chrześcijanin” (s. 12). Nadana niepokornemu myślicielowi romantyzmu etykieta – jak każde dookreślenie poglądów – sytuuje twórczość artystyczną w jakichś ramach. Dekonstrukcjonizm natomiast niszczy wszelkie ramy i rozmywa granice tekstów, których sensory tworzą się nieustannie. W spojrzeniu takim musi budzić opór wszystko, co ustalone. Niemniej poza stosowaną przez Rzońcę metodą własnych literackich przemyśleń przypisanie autora *Promethidiona* chrześcijaństwu w oczach tego badacza okazuje się karygodne, bo tożsame z zabójstwem dokonany na dziele poety. Nie jestem zwolenniczką wykorzystywania podobnych formuł (Norwid-chrześcijanin, Norwid-katolik, Norwid-moralista) jako niezawodnego wytrychu interpretacyjnego. Nie popieram też anachronicznego biografizmu w metodologii badań literackich. Niemniej zastanawia mnie upór, z jakim literaturoznawca przeczy poważnym, a kształtującym oblicze tej poezji, związkom autora *Assunty* z chrześcijaństwem. Być może postawa ta wyrasta z dość płytko – degradująco – rozumianej myśli chrześcijańskiej, w tym przede wszystkim ortodoksji katolickiej. Stosunek autora postmodernistycznych analiz do kilku rozważanych przez niego problemów zdaje się potwierdzać podobny domysł.

Czy można mówić o motywie słowa w literaturze romantycznej, nie przywołując biblijnej nauki o słowie (i Słowie)? Interpretacyjne działania zobrazowane w rozprawie ujawniają, że według jej autora można (s. 56-57). Czy w innej sytuacji

do przyjęcia byłoby wyrażenie (abstrahując od jego ironiczności): „tradycyjna wizja [...] uświęconej przez grzech pierwotny pracy” (s. 14)? Tradycyjna – zatem czyja? Bo przecież nie biblijna, nie teologiczna (powołanie do pracy w przekazie *Księgi Genesis* wyprzedza grzech z Edenu) i nie Norwidowa – nawet, gdyby w odczytaniu koncepcji pracy poety ograniczyć się do lektury *Promethidiona*. Jeszcze jeden przykładowo dyskusyjny sąd: „Od katolika, gdy ma on do czynienia z grzechem śmiertelnym, wymaga się jeśli nie potępienia, to co najmniej werbalnej wstrzemięźliwości. Norwid zadziwia” (s. 115). Dlaczego? Bo nie potępia samobójcy, rozumiejąc tragedię człowieka decydującego się na akt autodestrukcji. Tym samym miałyby przerastać katolicką ortodoksję. Z jakiego źródła wyrasta podobne przekonanie? Z wyobrażeń o chrześcijaństwie? Może. Natomiast na pewno sąd ten nie opiera się na poznaniu istoty chrześcijaństwa. Sama nie znam takiego katolicyzmu, nie utożsamiając go z prymitywizmem. Wreszcie spójrzmy na twierdzenie wyartykułowane w toku rozważań o indywidualizmie Norwida na tle romantyzmu: „[...] przywrócenie Bogu jego Indywidualności wiązać musiało się w sposób naturalny z przypisaniem szczególnej mocy zbiorowości, a właściwie – masie ludzkiej” (s. 41). Możemy stawiać pytanie: w ramach jakiego światopoglądu czy filozofii? Bo przecież nie jest to myśl chrześcijańska, a autor *Quidama* miałyby ją uczynić swoją w obronie Boga i Jego „tradycyjnego wizerunku” (s. 54). Nieuzasadniona kategoria „Norwid-katolik” miałyby zagłuszać wątki pesymizmu obecne w tekstach twórcy *Zwolona*. A może warto przebić się poprzez napływające obrazy ostatecznej klęski dobra, przede wszystkim zagłady ludzkiego indywiduum o cennym formacie? Może jakiś wysiłek interpretacyjny okazałby, że ostatnie słowo tekstu nie należy do prorocत्व o upadku sztuki i porażki osoby? Poezja dialogu wymaga współtworzenia podjętego w wysiłku tam, gdzie prawdy się „r a z e m d o c h o d z i i c z e k a”³. Przy Norwidowej koncepcji czytelnika chyba bardzo świadomie strzec się trzeba, by własnej światopoglądowej prawdy nie czynić słowem tekstu. Stan badań wskazuje, że interpretatorzy różnych orientacji wpadają w tę pułapkę wielorako fragmentarycznej twórczości mistrza przemilczeń.

Zatrzymajmy się przez chwilę nad *Zwolonem*. W świecie tego dramatu – nie tylko w subiektywnej opinii Wacława – „takie wszystko ciasne, / Szpitalne, niedostałe – tak zapalnie nudne / I suchotniczo wściekłe [...]”⁴, że za słuszną ocenę rzeczywistości trzeba uznać wyznanie Króla: „Widziałem szkarady, / Nie, gorzej, płaską widziałem pustotę [...]”⁵. Ale monologia przedstawiająca „tłum-pustek – ciszy-wrzwawę samotniczej” opatrzona została wyjaśnieniem ukierunkowującym dość jasno historiozoficzną ocenę: „[...] głoszę o tej awanturze / [...] / Gdzie huczeć będą, jak

^{3/} C. Norwid *Vade-mecum*, oprac. J. Fert, Wrocław 1999, s. 81.

^{4/} C. Norwid *Pisma wszystkie*, zebrał, tekst ustalił, wstępem i uwagami krytycznymi opatrzył J. W. Gomulicki, Warszawa 1970, t. 4: *Dramaty*, s. 75. W dalszym toku pracy publikację tę przywołuję skrótem PW. Następujące po nim cyfry oznaczają: rzymska – tom, arabska – stronę.

^{5/} Tamże, s. 69.

Roztrząsania i rozbiory

przelotne burze, / Lud, urzędnicy, dwór i Król Jego”⁶. To te wymienione bezimiennie społeczności i postaci wyzbyte indywidualizmu należą do tymczasowości – potwierdza to wizja tytułowego bohatera. Sam Zwolon natomiast tylko pozornie jawi się jako człowiek bezradny, należący do świata nieuchronnie obracającego się w przeszłość. Przypomnijmy: M s z a - w i e c z n a, czyli trwająca w historii tajemnica Golgoty dokonuje się poprzez takie indywidualia, jak: Sokrates, Kolumb i Sobieski, jak Zwolon, Krakus czy syn Aleksandra z Epiru, bo

Człowiek jeden zwycięży i wygra.

Wygra często po wiekach, ale wygra!

I nie będzie przy takowej Golgoty stopach zapłakanej matki jednej ani szlochającej Magdaleny, ani zaszłego krwią księżycy, ani ciemności otchłannej firmamentu – i będzie czcóż wielka pustki doczesnej naokoło walczącego męża – ale on wygra jak Sokrates – wygra jak Kolumb – bo wygra jak Bóg.⁷

Myślę, że romantyczny epistolograf tekstem broni się przed przypisaniem mu katastroficznego pesymizmu i pośrednim zamknięciem myśli chrześcijańskiej w kategorii mialkości.

Zasadniczy zrąb pracy Wiesława Rzońcy stanowią analizy tekstów Norwida i Witkiewicza, zestawione na podstawie obecnych w nich symboli i motywów albo poruszanych problemów. I tak, rozważania o pracy prowadzone są na podstawie *Promethidiona* i *Szewców*; zagadnienia mowy, milczenia i pisma omówione w oparciu o ten sam dramat Witkacego i – zasadniczo – Norwidową rozprawę pt. *Milczenie*; temat nudy wymógł ponowne pojawienie się w centrum uwagi badacza Witkiewiczowskiego arcydramatu, któremu towarzyszył obraz z *Quidama*; opowiadanie pt. *Tajemnica lorda Singelworth* skrzyżowane ze szkicem *O brudzie* przywołało wątek wskazany tytułem tekstu Witkacego; *Wariat i zakonnica* oraz *Nerwy* wraz z *Assuntą* stanowiły podstawę badania symboliki krzyża; ogląd zjawiska oryginalności umożliwiła lektura noweli *Ad leones* i rozprawy ze zbioru *Nowe formy w malarstwie*; wątek muzyki i kobiety towarzyszącej artyście zobrazowały teksty *Sonata Belzebuba* i *Fortepian Szopena*.

Zaskakuje nieco metoda przeprowadzania niektórych zbliżeń i niejednokrotnie tradycyjny w praktyce (niezgodny z wcześniejszymi deklaracjami) sposób określania koncepcji obu autorów, polegający na odwoływaniu się do innych ich tekstów. Zatem dzieło Norwida jest samo dla siebie interpretacyjnym kontekstem – choć nie tak gruntownie badanym, by pozwoliło wyłonić pełny obraz omawianych zjawisk, żywych w Norwidowym dziele. Podobnie rzecz się ma ze sposobem czytania Witkacego. W takiej sytuacji nasuwa się pewna wątpliwość. Rzońca uparcie zaprzecza metodzie odwoływania się do światopoglądu twórcy jako głosu cieszącego się najwyższym autorytetem w dziedzinie interpretacji. Gdzie „znajduje się” ów światopogląd twórcy, jeśli nie jest wypowiedziany w sztuce artysty?

^{6/} Tamże, s. 32, 31.

^{7/} C. Norwid *List do J. Kuczyńskiej* [Paryż, jesień 1862], PW, IX, s. 60.

A jeśli z niej właśnie odczytać można myśl pisarza o rzeczywistości, np. o pracy (zob. rozdz. I), to bezzasadne byłoby teoretyczne odżegnywanie się od negowanej procedury – bezzasadne wobec praktyki *Projektu komparatystyki dekonstrukcyjnej*, w którym twórczość i Norwida, i Witkacego traktowane są jako względne całości. Oczywiście, w spojrzeniu takim brak konsekwencji, czego jaskrawym dowodem – poza rozdziałem IX studium – jest motto zaczerpnięte z pism romantycznego epistolografa: „Człowiek jest nicość!” (s. 19).

Dekonstrukcjonizm, rozbijając całości utworów i przesuwając akcenty znaczeń w tekście, lekceważy uznane w nim centra, a tym samym „zmusza [...] do wzięcia pod uwagę tego, co w dziele uważano za marginalne i w tradycyjnym rozumieniu słowa przypadkowe” (s. 152). Tyle założenia. Nie sądzę jednak, by możliwe było wydobywanie całej diabolicznej genialności znaczeń *Sonaty Belzebuba* na gruncie nie-nowatorskiej sztuki interpretacji bez przywołania tak zasadniczych dla dramatu wypowiedzi, jak swoiste prorocтво bohatera:

Jedziemy na ostatnie wszechświatowe tournée, a potem koniec z Belzebubem.⁸

Jaka wizja Witkiewiczowskiego tekstu pozwoli za marginesowe uznać absolutnie generalne – jak sądzę – stwierdzenia tytułowej postaci:

Gdyby nie zło, nie byłoby nic ani nawet twojej ciotki.⁹

Wydaje się, że czytelnik skupiający swoją uwagę na takich fragmentach dzieła rzeczywiście może odkryć sensy w swojej wadze podobne do tych, jakie mieści w sobie obraz ruiny w Norwidowej mentalności – tyle że ruiny tej nie da się uznać za obraz dekonstrukcji (por. s. 26).

„Patrz!... o t o i R u i n ę n a w e t p o p s o w a ć m o ż n a !”

[...]

„...Zaprawdę – R u i n a
j e s t c a ł o ś c i ą ! [...]”¹⁰

W ramach prezentowanych analiz ich autor wypowiada ogólne twierdzenia dotyczące myśli i – o dziwo – intencji Norwida. Niektóre z nich wywołują zdziwienie, jak choćby sąd: „Antyromantyczność postawy Norwida polegała na tym, że czyn został przez niego zakwestionowany – jako działanie momentalne” (s. 41). Tymczasem praca i czyn nawet w samym *Promethidionie* nie tworzą pary pojęć antynomicznych, słowo bowiem „jest c z y n u t e s t a m e n t e m”, więcej: „takie tylko słowa są potrzebne i takie tylko zmartwychwstają czynem”¹¹, które mieści w sobie

^{8/} S. I. Witkiewicz *Dzieła wybrane*, t. 5: *Dramaty*, cz. II, Warszawa 1985, s. 483.

^{9/} Tamże, s. 458.

^{10/} C. Norwid *Rzecz o wolności słowa*, PW, III, s. 617.

^{11/} C. Norwid *Promethidion. Rzecz w dwóch dialogach z epilogiem*, oprac. S. Sawicki, Kraków 1997, s. 101.

Roztrząsania i rozbiory

owa gnomiczna definicja. Budzi niepokój autorytatywnie formułowane przekonanie badacza dotyczące zagadki niezrozumienia autora *Rzeczy o wolności słowa* przez siebie współczesnych. Problem ten bywa wciąż na nowo dyskutowany i zapewne nigdy nie zyska odpowiedzi zadowolającej wszystkich nim zainteresowanych. Zdaniem badacza, który nie pozostawia miejsca na wątpliwości, Norwid miał się dopuścić apoteozy ludu, za którą przyszło mu zapłacić zepchnięciem na margines życia literackiego aż po wydarzenie w Domu św. Kazimierza pod Paryżem z 23 maja 1883 roku. I jeszcze jedna – jak sądzę – bardzo istotna sprawa: romantyczny antagonistą romantyków w swoich pismach obciążonych myślą antropologiczną dał obraz człowieka, który jest psychofizyczną jednością. Norwid na przekór ulaurowanym wielkoludom – nie twierdzą, że intencjonalnie – podkreślał materialny wymiar ludzkiego bytu – nobilitowany, uświęcony nawet przez Wciele nie. To oblicze Chrystusa – „spoconą twarz człowieka na szubienicę idącego”¹² – otarto fartuchem, gdy Bóg w ludzkim ciele dokonywał odkupieńczej Paschy. On sam – w przemyśleniach romantycznego poety i sztukmistrza – w sakramentach sprawia, że ludzie przyjmują „B o g a w e w n ę t r z n o ś c i s w e, s e r c e m i j ę z y k i e m”¹³. „[...] mi potrzeba materii, żeby nie być fałszywym człowiekiem”¹⁴ – czytamy w pismach korespondenta Marii Trębickiej. Nie znaczy to jednak – jak chce Rzońca – że Norwid odwrócił romantyczną opozycję tak, by „materia zdominowała Ducha” (s. 42). Myślę, że z dzieła autora *Harmonii* wypływa wizerunek ideału, który polega na równowadze pierwiastków bytowych – w samym człowieku i w rzeczywistości wobec niego zewnętrznej, stąd „całym sobą” znaczy dla Norwida „sumieniem, sercem, żołądkiem, nerwami, frakiem”¹⁵...

Z ducha najbardziej oryginalną częścią przedstawionej pracy okazuje się – mojej lekturze rozprawy – „postmodernistyczne przemieszanie postaci literackich” (rozdz. IX). Manewr ten wprowadza bohaterkę *Onych* Witkiewicza w Norwidowy świat *Pierścienia Wielkiej-Damy*. To ciekawa „wolna gra na tekście” w przestrzeni synchronicznie traktowanej literatury, rozumianej jako łańcuch pism bez granic. Trudno mówić o naukowej wartości działań, nie oceniając metody, która je usprawiedliwia, a która każe dyskutować o samej możliwości istnienia nauki. Wypada więc postawić pytanie: czy wobec dzieła Witkacego i pism Norwida przedstawiona propozycja badawcza przynosi poznawczy sukces? Autor, pamiętając o deklarowanej przez dekonstrukcjonizm „niezgodności z samym sobą” (s. 226), dokonuje całościowego sumowania wyników analiz, twierdząc, że obaj twórcy zyskali na tym swoistym dialogu: „Witkacy okazał się niepodobny do wizerunku Witkacego-awangardysty” (jako ironista, ultraromantyk i dekonstruktor postromantycznego patosu właściwego tekstom autora *Stygmatu*). „Norwid zaś niepodobny do Norwida-romantyka” jako niechętny masie ludzkiej poeta nudy, sięgający po

^{12/} C. Norwid *List do M. Trębickiej* [Paryż, s. poczt. 28 sierpnia 1857], PW, VIII, s. 320.

^{13/} C. Norwid *List do K. Górskiej* [Paryż, s. poczt. 19 maja 1862], PW, IX, s. 36.

^{14/} C. Norwid *List do M. Trębickiej* [Nowy Jork] 20 października [1853], PW, VIII, s. 197.

^{15/} C. Norwid *List do A. Cieszkowskiego* [Paryż, listopad 1850], PW, VIII, s. 111.

Klimanowska W lesie młodopolskich symboli

groteskowość w ujęciach romantyzmu, wprowadzający elementy erotyki sakralnej i postać hermafrodyty, przeciwny zaistnieniu miłości w dziele, objawiający ponowoczesny stosunek do wykreowanych przez siebie postaci. Tyle sam autor o owocach własnej analitycznej lektury.

Postrzegam pracę Wiesława Rzońcy przede wszystkim jako tekst tworzony – świadomie lub nie – z Norwidową wizją odbiorcy, ponieważ czytelnik rozprawy zmuszony jest niemal na zasadzie wyzwania w toku percepcji studium wchodzić w dialog z autorem. Może czuć się również głęboko intelektualnie poruszony bogactwem interpretacyjnych tez, twórczym stosunkiem do dzieł literackich, w nowy sposób odczytaną problematyką, odnajdywaną zwłaszcza w dramatach autora *Wariata i zakonnicy*. Rozprawa ta każe badaczom zupełnie osobiście szukać odpowiedzi na fundamentalne dla nich pytania, dotyczące sensu i celu własnych działań, możliwości istnienia naukowej refleksji o literaturze, a przede wszystkim samej istoty dzieła literackiego i granic interpretacyjnych możliwości. Zatem: rzetelny kontakt z tym studium wytwarza bardziej świadomy stosunek do utworu – również w zakresie aksjologii i, chciałabym powiedzieć, etyki myśli literaturoznawczej. Wydaje się więc, że postmodernistyczny tekst wymusza komunikację, a zatem podtrzymuje czy stwarza międzyosobową więź, na przekór tezom filozofii, z której wyrasta. Spełnia zatem najbardziej humanistyczne zadanie.

Dorota KLIMANOWSKA CSSF